

My deportowani

Syberia była ziemią obiecaną Polaków

Zesłańcy dostarczają towar do więzienia pod eskortą wojska. Do dziś Syberia kojarzy się Polakom ze zsyłkami .

Chociaż Syberia kojarzy się z cierpieniem narodu polskiego, wielu naszych rodaków odnalazło tam swoje szczęście. Tam zdobyli oni zaszczyty, szacunek i pieniądze.

Ogromna grupa polskich zesłańców znalazła się na Syberii po powstaniu listopadowym. Najczęściej wymierzona im kara polegała na kilku lub kilkunastoletnim zamieszaniu za Uralem z możliwością podjęcia pracy.

Na Syberii brakowało przede wszystkim nauczycieli wszystkich przedmiotów, więc nasi rodacy udzielali prywatnych lekcji muzyki i uczyli dzieci w majątnych rodzinach.

Wprawdzie Polakom, jako przestępcom politycznym zabraniano nauczania w państwowych szkołach, ale dojmujący brak pedagogów sprawił, że władze cywilne i oświatowe przymykały na to oko. Jeden z zesłańców - Hipolit Suchoprocki - nawet został dyrektorem Szkół Ludowych guberni tomskiej.

Na ciężkie roboty skazano tylko część zesłańców. Jednak nawet w tym przypadku wykształceni Polacy - na prośbę lokalnych notabli - byli zwalniani z odbywania kary i pracowali jako urzędnicy w lokalnych instytucjach, kopalniach złota i dużych firmach.

Zdaniem prof. Wiktorii Śliwowskiej, Polacy dosłownie "spadli z nieba" mieszkańcom Syberii. Dlatego, gdy po amnestii 1856 roku, nasi rodacy mogli wrócić do ojczyzny, wspomniano o nich z ogromnym szacunkiem, a gazeta "Wostocznojaja Sibir" wielokrotnie wyrażała żal z powodu ich wyjazdu.

Naukowcy

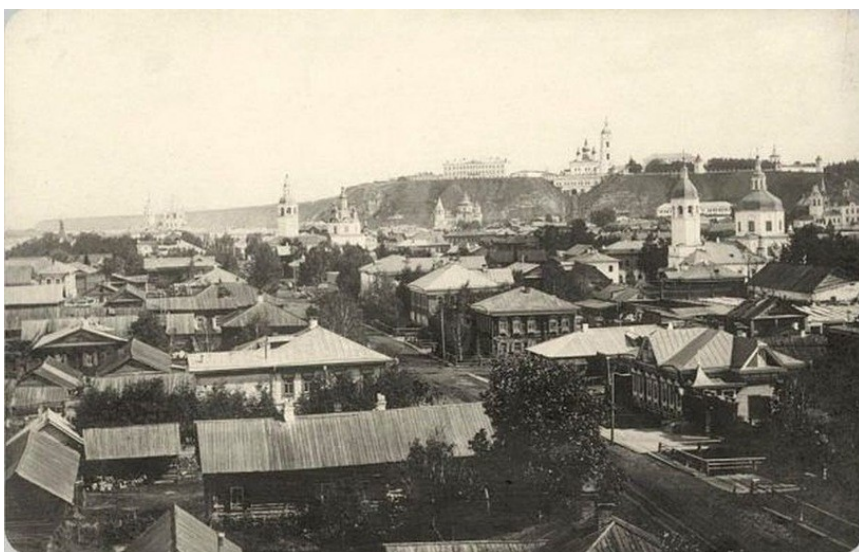
Gdy w 1888 roku swoją działalność rozpoczął Uniwersytet Tomski, w jego kadrze znaleźli się Polacy. W pierwszych latach istnienia uczelni jej rektorem był profesor Aleksander Dogiel. W późniejszym okresie pełnił on funkcję dziekana Wydziału Lekarskiego. Polak prowadził wykłady z histologii oraz embriologii. Dużo czasu i uwagi poświęcał budowie komórki; uczył studentów metod pracy z mikroskopem. Badał budowę histologiczną układu nerwowego, dzięki czemu stał się jednym z założycieli neurohistologii.

Profesorem chemii ogólnej i lekarskiej był popularny wykładowca Stanisław Szczepan Zaleski. Nasz rodak także interesował się fizjologią Syberii, zyskując reputację jednego "z najwybitniejszych balneologów w Rosji" i dokonując pierwszych badań chemiczno-geologicznych-klimatycznych wielu jezior syberyjskich. Zaleski prowadził badania również na Kaukazie, gdzie odkrył cenne źródła wód leczniczych w Kisłowodzku, Krasnej Polanie, Borżomi. Wyniki swoich badań publikował po polsku, rosyjsku i francusku.

Odkrywcy i eksploratorzy

Polskim przyrodnikom i geologom - zesłańcom styczniowym - Rosja zawdzięcza opisy geograficznego środowiska Syberii, badania jeziora Bajkał oraz odkrycie wielu gatunków flory i fauny. Pionierem eksploracji tych obszarów był Benedykt Dybowski. Polak przeprowadził stacjonarne badania Bajkału, dzięki którym obalił mit o ubóstwie jego świata zwierzęcego. Zgromadził okazy bezkręgowców, o istnieniu których zoologowie nie mieli pojęcia. Zwiedził Kraj Nadmorski i odkrył tam gatunek jelenia nazwany po latach jego imieniem. Nazwisko Dybowskiego nosi też szczyt jednej z gór na Wyspach Komandorskich.

Aleksander Czekanowski zorganizował trzy wyprawy wzdłuż wielkich rzek syberyjskich m.in. Jeniseju, Leny i Tunguski. Udowodnił, iż pokłady węgla w okolicy Bajkału zostały bardzo odmłodzone - okazało się, że tamtejsza formacja węglowa pochodzi z okresu jurajskiego, a nie karbońskiego, jak uważano przedtem. To odkrycie zostało nagrodzone złotym medalem Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, co było wyrazem najwyższego uznania ze strony tamtejszych naukowców. W 1874 roku Czekanowski opublikował "Monografię geologiczną guberni irkuckiej", za którą otrzymał nagrodę w Paryżu. Obecnie nazwisko Polaka nosi m. in. kilka gatunków flory i fauny, góry w Jakucji oraz położona w tajdze osada.



Tobolsk – miasto, w którym rządził Despot-Zenowicz /*domena publiczna*

Jan Czernski spenetrował gubernię jenisejską, na terenie której odkrył komplikacje tektoniczne w górach, obecność wygasłych wulkanów oraz młode ruchy pionowe skorupy ziemskiej. Zbadał geologiczną strukturę Bajkału i sporządził szczegółową, zwartą i jednolitą mapę geologiczną tego regionu, która - zdaniem rosyjskich naukowców - "nie utraciła swojej wartości także dziś".

W 1885 roku Czernski został szefem Cesarskiego Muzeum Geologicznego w Petersburgu i otrzymał możliwość ogłoszenia wyników swoich syberyjskich badań, stając się jednym z najsłynniejszych geologów świata. W dowód uznania zasług Polaka jego imieniem nazwano m.in. miasto w Jakucji, łańcuch górski w okręgu zabajkalskim, pasmo górskie w Jakucji północnej nad górnym brzegiem Kołymy, szczyt górski na północno-zachodnim brzegu Bajkału, kilka gatunków roślin i lodowce.

We władzach lokalnych (i nie tylko)

Nasi rodacy zajmowali kluczowe stanowiska w syberyjskiej administracji. Ludwik Wróblewski pełnił funkcję burmistrza najpierw w Turuchańsku, a następnie w Kuzniecku, Antoni Raubo - w Barnaulu, Józef Wiesiołowski i Franciszek Sawicki - w Bijsku, a Bolesław Szostakowicz - w Irkucku oraz Omsku.

Jeszcze bardziej eksponowane stanowisko - gubernatora tobolskiego - w latach 1854-1858 zajmował Wiktor Arcimowicz (1820- 1893). Polak znalazł gubernię w opłakanym stanie. Z powodu oddalenia od stolicy lokalni urzędnicy czuli się bezkarni: popełniali wiele nadużyć, brali łapówki i odkładali załatwianie bieżących spraw.

Arcimowicz postawił przed sądem najbardziej skorumpowanych podwładnych, zajął się zaległymi problemami, zatroszczył się o stan szpitali i szkół oraz zagospodarowanie terenu. Zainicjował wydawanie lokalnej gazety "Tobolskije gubernskije wiadomości".

Ale najbardziej spektakularną karierę zrobił Aleksander Despot-Zenowicz (1828-1897). Jego droga na szczyt rozpoczęła się w 1852 roku, wraz z nominacją na stanowisko komisarza ds. celnych w mieście Kiachta. Za walkę z nadużyciami i korupcją oraz wykrycie wielomilionowych nadużyć Polak otrzymał osobiste podziękowania tamtejszego burmistrza. Z biegiem czasu także władze centralne doceniły naszego rodaka, mianując go członkiem grupy negocjacyjnej ds. wytyczenia granicy rosyjsko-chińskiej.

15 stycznia 1858 roku Polak został burmistrzem Kiachty, gdzie otworzył gimnazjum żeńskie, bibliotekę publiczną, drukarnię publikującą lokalną gazetę, prowadził walkę z nielegalnym handlem i przemytem. W 1862 roku wezwano go do Petersburga na spotkanie z Aleksandrem II. Monarcha zaproponował mu stanowisko gubernatora tobolskiego i pożegnał go słowami "Jedź! Ja tobie ufam i zaprowadź tam porządek!".

Despot-Zenowicz rozbudował sieć szkół, utworzył stowarzyszenie pomocy niemającym studentom, wybudował szpital dla biednych, wprowadził kształcenie zawodowe urzędników. Walczył z korupcją, zwalniał łapówkarzy. W 1866 roku Polakowi powierzono odpowiedzialne stanowisko w MSW, gdzie zajmował się sprawami azjatyckiej Rosji.

Były gubernator pozostał we wdzięcznej pamięci mieszkańców guberni tobolskiej, którzy w 1871 roku nadali jego imię nowej wsi. Miejscowość nosi nazwę Despotzinowka i jest połączeniem dwuczłonowego nazwiska gubernatora tobolskiego - Despot i Zen (owicz). Ciekawostką jest, że nawet za czasów radzieckich, gdy wymazywano wszystko, co było związane z carskim reżimem, nazwa wsi nie uległa zmianie.

Violetta Wiernicka - dr nauk humanistycznych, autorka książek: Sekrety rosyjskich kolei, Polki, które rządziły Kremlem, Sekrety rosyjskich carów, Prawosławni w Łodzi, Rosjanie w Polsce; czas zaborów 1795-1915. Zainteresowania: mniejszość prawosławna w Polsce, historia Rosji, stosunki polsko-rosyjskie (ze szczególnym uwzględnieniem okresu 1815-1915) <https://menway.interia.pl/historia/news-syberia-ziemia-obiecana-polakow,n>

WIĘCEJ W E-BOOKU

‘POLACY PIERWSI NA ŚWIECIE ‘

MY DEPORTOWANI

Luty 1940. Deportacja Polaków na Sybir - relacje ofiar



Zesłańcy polscy w Związku Sowieckim. 1941 r. Fot. NAC

Podczas II wojny światowej Związek Sowiecki przeprowadził cztery wielkie akcje deportacyjne polskich obywateli. Nocą z 9 na 10 lutego 1940 roku, na rozkaz Moskwy, z Polski wywieziono pierwszych 140 tys. osób – głównie rodziny wojskowych, urzędników, pracowników służby leśnej i kolei ze wschodniej części kraju. Jedna trzecia deportowanych trafiła na północ europejskiej części Rosji, do obwodu archangielskiego i Komijńskiej ASRS, wielu przesiedlono do Kraju Krasnojarskiego i obwodu omskiego na Syberii.

Łącznie Sowieci przeprowadzili cztery deportacje – drugą z 12/13 kwietnia 1940 r., trzecią z 28/29 czerwca 1940 r., a czwartą – w maju 1941 r.

W związku z przypadającą 75. rocznicą pierwszej deportacji Polaków na Sybir zapraszamy do zapoznania się z fragmentami kilku relacji bezpośrednich uczestników tamtych wydarzeń.

Wspomnienia napłynęły do Muzeum w ramach projektu „Rodziny rozdzielone przez historię”. Jest to realizowane od 2007 roku przedsięwzięcie, mające na celu udokumentowanie jednego z najważniejszych polskich doświadczeń w XX wieku, jakim było rozdzielenie rodzin w latach 1939-1989, wynikające m.in. z przesiedleń i wywózek w okresie wojny, jak też decyzji o emigracji na Zachód z przyczyn politycznych lub ekonomicznych w okresie PRL.

Jan B. Deręgowski:

„Przerażające wieści o wywiezionych w lutym rozchodziły się powoli, niczem krew przesiąkająca przez bandaż. Krążyły historie o głodzie, chorobach, zimnie i o ciałach porzuconych przy torach. Ludzie modlili się. Mieli nadzieję, że to tylko pogłoski. W głębi dusz wszyscy znali prawdę. Plama krwi rosła. Groźba dalszych wywózek wisiała w powietrzu. Kiedy znów przyjdą? Czy przyjdą po nas?

Kiedy przyszli, tak jak to mieli w zwyczaju, późno w nocy, wybuchła panika. Baba biegła w kółko jak przerażona kwoka. Dziadek Kazimierz i babka Kazimiera stali sztywno pod ścianą. Dziadek się nie uśmiechał. Mama i Ciotka próbowały uspokoić Babę. Czuć było zapach walerianowych kropli.

Przyszło ich trzech – cywil z papierami i dwóch żołnierzy z długimi karabinami, na które zatknięte były bagnety.

– Nakaz deportacji dotyczy czterech osób – powiedział cywil i odczytał imiona i imiona ojców i nazwiska Baby, mamy, Ciotki i Jaśka.

– Spakujcie się – dodał.

– Co mamy zabrać? Co mamy zabrać? – zapytała Baba.

– Bierzcie co się tylko da! – powiedział jeden z żołnierzy.

– Pomożemy się wam spakować – powiedział drugi.

Przerażające wieści o wywiezionych w lutym rozchodziły się powoli, niczem krew przesiąkająca przez bandaż. Krążyły historie o głodzie, chorobach, zimnie i o ciałach porzuconych przy torach. Ludzie modlili się. Mieli nadzieję, że to tylko pogłoski. W głębi dusz wszyscy znali prawdę. Plama krwi rosła. Groźba dalszych wywózek wisiała w powietrzu. Kiedy znów przyjdą? Czy przyjdą po nas?

Oparli karabiny o ścianę i zaczęli pakować. Mężczyzna w cywilu stał z boku przy ścianie, przyciskając papiery do piersi.

Było to gorączkowe pakowanie. Pakowanie ubrań i jedzenia. Żołnierze wzięli dwie poduszki, jedną ozdobioną kiśćmi i liśćmi winogron i drugą ozdobioną kasztanami i liśćmi kasztanowca. ściągnęli z nich poszewki i ku zdziwieniu Jaśka, jedną poszewkę napełnili mąką, drugą suszonym grochem, które babcia Kazimiera przyniosła ze spiżarni. Stos pakunków rósł w oczach.

- Czas jechać – powiedział cywil.

Żołnierze przenieśli bagaże do czekającej ciężarówki. Razem z wywożonymi wspięli się na ciężarówkę i ciężarówka zawiozła wszystkich na dworzec. Jasiak nigdy więcej nie zobaczył ani dziadka Kazimierza ani babci Kazimiery.

Do transportu ludzi przystosowano wagony bydłące. Po obu stronach drzwi, w połowie wysokości każdego wagonu, wstawiono solidne półki. Dzięki tym półkom prawie podwoiła się przestrzeń, którą mogli zajmować podróżujący. Pośrodku podłogi, naprzeciw drzwi, wycięto mały otwór, który miał służyć do załatwiania wiadomych potrzeb.

Wchodząc do wagonu, ludzie wybierali z wciąż wolnych miejsc te na półkach, które dawały dostęp do zakratowanych, prostokątnych okienek, przez które będzie można patrzeć na mijane miejscowości lub te na podłodze dające łatwiejszy dostęp do otworu. Baba wybrała miejsce na półce po lewej stronie wagonu, w prawym kącie.”

Maria Tarnawska z domu Janusz:

Nadszedł 10.02.1940 rok mama piekła chleb, a tu o świcie podjeżdża dwoje sani z woźnicami: dwóch Ukraińców i dwóch enkawudzistów. Najpierw przeczytano nam jakiś wyrok (Ukraińiec przetłumaczył nam), że byliśmy jakimiś wrogami i dano nam dwie godziny na zebranie się. Ale to była zima, nie mieliśmy się w co ubrać, a młodsze rodzeństwo to nawet butów nie mieli, ale co mieliśmy to nam zabrali, wsadzili w pierzyny i poduszki i nawet nie zmarzliśmy. Nie można powiedzieć... wybili nam kury i wrzucili do worka takiego z pierzem trochę słoniny, której również nam dali. Dzień wcześniej wujek zmielił nam w młynie dwa worki żyta i dwa worki pszenicy – też nam to wrzucili i powiedzieli, że się to przyda i jak z czasem się okazało to przydało się!

Zawieziono nas do Trembowli, załadowano do wagonów towarowych, w których były prycze a na każdej pryczy jedna rodzina. Była także dziura w podłodze i służyła jako ustęp. Były też dwa piece żelazne, na stacjach podawano nam węgiel i drzewo, dawano nam też wodę i jedzenie w tym chleb.

Pamiętam, że gdy skończyły nam się kury to trzeba było jeść to ich jedzenie, przeważnie była to zupa rybna, czyli „ucha” i kasza maszczona olejem. Kilka dni wymiotowaliśmy, ale trzeba było przyzwyczaić się. Zawieziono nas do Kotłasu. Przesadzono nas na ciężarowe samochody i więziono nas cały dzień. Mróz był „czaskający”, ale nawet nie zmarzliśmy w tych pierzynach.

Przenocowaliśmy w jakiejś bardzo dużej hali i rano ruszyliśmy dalej na saniach i jechaliśmy znów cały dzień.

Ludzie zaczęli masowo wymierać z niedożywienia i nadmiaru pracy. Nam też zaczął głód doskwierać. Nasz komendant nie był zły, ale też nikt mu się nie sprzeciwił, mojej mamie dość współczuł, ale zażądał żeby, chociaż dwoje dzieci oddała do domu dziecka, bo sama nie da rady nas wszystkich wyżywić. No i musiała tak zrobić, ale kto miał iść? Mnie nie chciała dać, że jestem najstarsza i coś jej pomogę. Poszli dobrowolnie Roman i Józef, później Roman umarł w tym domu w Paspordzie.

Wreszcie dowieziono nas do celu, rozprowadzili nas do baraków solidnie zbudowanych z drewna też z pryczami, dano nas tam do jednej komnaty pięć rodzin, około 22 osoby. W baraku był też piec duży, dookoła były lasy, więc było czym palić. Byliśmy też odczytywani, co wieczór. Moją mamę i mnie przydzielili do obsługi łaźni, a innych przydzielili do pracy w lesie przy ścinie drzew. Żyliśmy z tego, co zarobiliśmy, ale ile tego zarobku było to nie pamiętam, ale bardzo mało.

Przebywaliśmy tam 3-4 miesiące, bo gdy przyszła wiosna a z nią chmary komarów, nie było nigdzie miejsca żeby się przed nimi schronić. Ludzie zaczęli masowo wymierać z niedożywienia i nadmiaru pracy. Nam też zaczął głód doskwierać. Nasz komendant nie był zły, ale też nikt mu się nie sprzeciwiał, mojej mamie dość współczuł, ale zażądał żeby, chociaż dwoje dzieci oddała do domu dziecka, bo sama nie da rady nas wszystkich wyżywić. No i musiała tak zrobić, ale kto miał iść? Mnie nie chciała dać, że jestem najstarsza i coś jej pomogę. Poszli dobrowolnie Roman i Józef, później Roman umarł w tym domu w Pasporadzie.

Nas przewieziono do Siktiwkaru. Tam mama pracowała w tartaku i inni też. Tam też byliśmy pod kontrolą, ludzie wciąż bardzo umierali, głodni byliśmy wciąż, bo to co mama zarobiła to nawet na chleb nie starczyło, ale mama też coraz bardziej podupadała na zdrowiu wreszcie piąty raz trafiła do szpitala i tam po kilku dniach zmarła na tyfus brzuszny mając 35 lat.

Ja 15-letnia dziewczyna zostałam sama bo rodzeństwo było w domach dziecka. Najpierw bawiłam ruskie dzieci, ale musiałam jakoś pracować, bo nie dano mi kartki na chleb, ale dodając sobie lat zaczęłam pracować przy remontach jako pomocnik w remkantorze w Siktiwkarze.

W roku 1944 przewieziono nas do Woroneska powiat Abramowka, tam nas osiedlono u rodzin rosyjskich i pracowaliśmy tam do 10.02.1946 roku. Znow wyznaczono termin, zawieziono nas na stacje Abramowka, załadowano do wagonów towarowych, wieziono cały miesiąc i zawieziono na ziemie odzyskane. Dzisiaj naszymi najcenniejszymi pamiątkami rodzinnymi z tamtych czasów jest pamiątnik ojca Marii Tarnawskiej, który szczegółowo opisuje życie rodziny przed, na i po emigracji, oraz liczne listy rodzeństwa Marii do siebie i zdjęcia z Rosji, Niemiec i Oświęcimia.”

Alfreda Ferschke z domu Winter:

„Zima była sroga tego roku. 30 st. C mróz skuł tą niespokojną ziemię, a noc 10 lutego 1940 r. wyryła piętno w mej psychice i osobowości na całe życie.

Wszyscy spali, ja zbudziłam się bo usłyszałam ujadanie psów u sąsiada Borowca, a ich dom stał obok nas. Wyszłam do sieni otworzyłam drzwi i usłyszałam krzyk pani Borowcowej „Ja nigdzie nie pojedę” wróciłam do pokoju, już nikt nie spał.

Za parę minut ujadanie psów na naszym podwórku i natarczywe łomotanie do drzwi: „Otwierać!” Ojciec otworzył i do mieszkania wtargnęła gromada uzbrojonych mężczyzn Ukraińców z jednym Rosjaninem. Był w szarym wojskowym płaszczu, w czapce z klapami na uszy i czubkiem na środku głowy, uzbrojony. Rosjanin zażądał od ojca dokumentów, zabrał je i oświadczył: „Sobierajties pieriesielajem was w druguju obłast”.

Po tych słowach zobaczyłam mamę we łzach, biegała po mieszkaniu, straciła głowę, w ogóle nie wiedziała biedna co ma robić, co pakować, czy dzieci ubierać. Jakimś cudem wymknęła się z domu i w ten mróz i śnieg i noc pobiegła do państwa Ciejków sprawdzić czy ich też wywożą.

Poranek był zimny skrzypiał śnieg i grobowa cisza. Nikt nic nie mówił. Nawet ci z eskorty nie rozmawiali z nami. Jechały tej nocy sanie, samochody, wywieźli wszystkich osadników wojskowych z kolonii „Podryże” i innych kolonii na Wołyniu. Po drodze jakaś kobieta podała nam kubek gorącego mleka, był to ostatni kubek mleka z przerwą na sześć lat.

Tam też na podwórku czekały na nich samochody. Wróciła i widzi jak jej mąż klęczy przed Rosjaninem i prosi żeby go zabrał, jest gotów, żeby go zabił aby tylko oszczędzić żonę i dzieci. Obok stał Ukrainiec i mówi: „Ubij prositsia”. Rosjanin odpowiedział „Nie lzja”. Na podwórku psy ujadły, bo byli tam jacyś obcy ludzie cywile i ci uzbrojeni Ukraińcy. Jednym z nich był woźny ze szkoły. Rosjanin był dobrym człowiekiem. Mojej siostrze 16-letniej panience o pięknych blond warkoczach, szepnęła ukradkiem: „Ubiegaj” ale nie miała dokąd uciekać. Siostra nie była już w szkole w Mielnicy z powodu tak niepewnego jutra. Była z nami w domu.

Nikt nic nie robił, nikt nic nie pakował, Rosjanin nie mógł sobie poradzić z naszą rodziną, nigdzie nie pojedziemy i koniec. Za długo to trwało a nie chciał być brutalnym, wezwał pomoc. Po około pół godziny przyszło trzech Rosjan.

Jednego dobrze pamiętam, był niski ubrany w czarną skórzaną kurtkę, okrągłą czapkę z czerwonym otoczkiem i gwiazdą. Strasznie krzyczał.

Samochód, który po nas przyjechał już odjechał bez nas. Rosjanin polecił zaprzęgać nasze konie, dał nam dziesięć minut na spakowanie, jeśli nie, to będziemy związani i wrzuceni na sanie.

Najbardziej przytomną była siostra, ubrała mnie i brata w ciepłe zimowe ubrania. Z ojcem wynosili pościel, trochę ubrania, chleb, parę garnków i to wszystko. Mnie i brata opatulali pierzynami w tych saniach, już świtało. Mama pożegnała swoją matkę, staruszki nie wzięli. Konie ruszyły, ostatnie spojrzenie na domy, zagrodę, gniazdo trudu, pracy i szczęścia moich rodziców i moje.

Poranek był zimny skrzypiał śnieg i grobowa cisza. Nikt nic nie mówił. Nawet ci z eskorty nie rozmawiali z nami. Jechały tej nocy sanie, samochody, wywieźli wszystkich osadników wojskowych z kolonii „Podryże” i innych kolonii na Wołyniu. Po drodze jakaś kobieta podała nam kubek gorącego mleka, był to ostatni kubek mleka z przerwą na sześć lat. Pod wieczór byliśmy na stacji w Maniewiczach, stał już długi transport bydłowych wagonów.

Pod eskortą krzyczących czubaryków załadowano nas do wagonów, było tam już dużo nieznanym nam ludzi. W wagonie po jednej i drugiej stronie były prycze z desek. Po środku piecyk żelazny z rurą na zewnątrz w kącie dziura w podłodze (to ubikacja). Po obu stronach wagonu dwa małe okienka. Wyznaczono nam miejsca na górze. Były tu już inne rodziny, w wagonie było ciasno, ciemno i zimno. Zetknięcie z tak ponurą rzeczywistością było straszne, bardzo się bałam ciemności i wszystkiego co mnie otaczało. Przed pociągiem stało dużo sań z końmi już bez właścicieli, nasze też. Co czuł ojciec, który tak kochał swoje konie?

Po załadowaniu wagonu usłyszeliśmy zgrzyt zasuwanych drzwi, spięto je żelazną sztabą i zamknięto na klucz. Pociąg ruszył tak gwałtownie, że niektórzy pospadali z pryczy.

Rytmicznie zastukały koła wagonu, była już ciemna noc, ktoś zaintonował: „Serdeczna Matko opiekunko ludzi” wszyscy śpiewali. Był to śpiew dławiący przeplatany płaczem. Moi rodzice tulili nas w ramionach i także płakali. Nikt nie wiedział dokąd nas wiozą, ale przypuszczali – na Sybir.

Postój na bocznych torach, wówczas konwojenci otwierali drzwi i podawali gorącą wodę i czarny gliniasty chleb, takie było nasze pożywienie. Jechaliśmy przez długie ciemne tunele, mijaliśmy góry Uralskie. W wagonie ludzie się jakoś zorganizowali. Nad dziurą w podłodze oblodzoną wokół powiesili koc. Bardzo się bałam tam chodzić. Stukot kół pędzącego pociągu, lód wokół, ciemno a ja musiałam nad tą dziurą kucać. Odprowadzała mnie zawsze do tej dziury moja kochana siostra.

Bałam się też piecyka blaszaka z gorącą rurą, która miała wylot w dziurze w dachu. Pociąg stawał przeważnie w pustym polu pokrytym białym czystym śniegiem. Dorośli zbierali ten śnieg i była z tego gorąca woda do picia. Jak wspomniałam, w wagonie były dwa małe okienka a że nasze miejsce było na górze, więc miałam możliwość trzeć palcem zamrażającą na szybie warstwę lodu aż dotarłam do szyby i mogłam oglądać przez dziurkę (dużą jak naparstek) mijające krajobrazy. Białło na polach, na gałęziach drzew, ani domów ani ludzi tylko wszędzie białło. Niedługo mogłam oglądać świat bo dziurka szybko znowu zamarzała.

W naszej rodzinie nikt nie zachorował. Chorowały małe dzieci, ludzie starsi, były przypadki zgonów ale w naszym wagonie nie. Zmarłych zakopywano w śniegu przy torach, szybko bo pociąg ruszał.”

Eugenia Smolnicka z domu Piotuch:

„Wkrótce po rozpoczęciu się Drugiej Wojny Światowej, 10 lutego 1940 roku, w nocy, NKWD i rosyjscy żołnierze wkroczyli do naszego domu. Dali nam godzinę spakować się i załadowali na sanie. Po drodze zatrzymali sanie u blisko mieszkającego drugiego gajowego i razem zawieźli nas na stację kolejową do Baranowicz. Na stacji stały pociągi, a w wagonach już było dużo ludzi. Drzwi wagonów były jeszcze otwarte. Mama usłyszała głos swojej najmłodszej siostry i podbiegła do wagonu, ale żołnierz zatrzasnął drzwi. Nigdy więcej nie zobaczyła swej siostry.

Pociąg ruszył i wszyscy w wagonie płakali, a potem długo modliliśmy się. Po paru dniach, ojciec zbudził mnie w nocy i powiedział: „chodź Gieniu i zobacz, jesteśmy w Moskwie. Jechaliśmy jeszcze dwa tygodnie, aż dojechaliśmy gdzie kończyła się linia kolejowa. Wyładowali nas z pociągu i byliśmy nakarmieni (każdy z nas dostał smażone mięso na patyczku). Połowę Polaków zostawiono na miejscu, a po naszą połowę przyjechali ludzie z końmi i saniami. Jechaliśmy przez cały dzień. Ulokowano nas w posiołku Połodnowica, rejon Szaryński, obłaść Gorków.

Na stacji stały pociągi, a w wagonach już było dużo ludzi. Drzwi wagonów były jeszcze otwarte. Mama usłyszała głos swojej najmłodszej siostry i podbiegła do wagonu, ale żołnierz zatrzasnął drzwi. Nigdy więcej nie zobaczyła swej siostry. Pociąg ruszył i wszyscy w wagonie płakali, a potem długo modliliśmy się.

Ojciec pracował w lesie, a latem przy budowie szkoły i nowych baraków. Przyszła wiosna i z nią epidemia tyfusu. Ciągłe ktoś z Polaków umierał. Byliśmy głodni, bo przeznaczona porcja chleba nie wystarczała. W niedzielę z pobliskich kołchozów ludzie przywozili jarzyny i inne produkty żywnościowe, a Polacy sprzedawali swoje ubrania i bieliznę.

Zdarzyło się, że z pewnego kołchozu zaprosili polskich chłopców na zabawę. Opowiadali oni, jak niektóre dziewczęta przyszły na zabawę w pięknych polskich nocnych koszulkach, myśląc, że to balowe sukienki.

Po amnestii, dzięki pomocy delegata Rządu Polskiego w Londynie, wyjechaliśmy z posiołku. Jechaliśmy na południe, gdzie tworzyło się Polskie Wojsko. Wyjechaliśmy pod koniec 1941 roku, w listopadzie, a na wigilię byliśmy na stacji w Bucharze. W drodze, na jednej stacji pociąg zatrzymał się i mój ojciec, z drugim panem, poszli szukać coś do jedzenia. Stanęli przed rzeźnią i patrząc zdziwieni, że na wystawie wiszą kielbasy. Byli gotowi wydać wszystkie pieniądze za kielbasę.

Weszli do sklepu, grzecznie pozdrowili rzeźnika i poprosili o jedną kielbasę. Rzeźnik roześmiał się i powiedział: „Przyjaciele, to pomalowane drzewo, w sklepie nie mam nic.”

Często na stacjach kolejowych leżały kopy soli i ludzie brali ile mogli. Po paru tygodniach już byliśmy w Uzbekistanie i pociąg szedł coraz wolniej. Nieraz zatrzymywał się w polu i niewiadomo skąd zjawiali się Uzbegy i wszyscy prosili o sól. Za kubek soli dawali dwa kubki ryżu. Choćby na dzień, dwa, byliśmy syci.

W Bucharze czekaliśmy parę dni na stacji kolejowej. Potem przyjechali ludzie i rozebrali nas do kołchozów. Każdej rodzinie przeznaczono jedno-pokojową kibitkę (dom ze słomy i glinianych cegieł), z jednymi drzwiami, a okna nie było wcale. Ojciec znalazł większy kawałek szkła i z tego zrobił nam okno.

Parę kilometrów od nas, we większym kołchozie, delegat Rządu Polskiego w Londynie, żołnierz wojska polskiego tworzącego się w Związku, otworzył Polski Dom Dziecka. Mama i inne polskie panie, wiedząc, że to jest możliwość poprawy bytu swych dzieci, zaprowadziły nas tam i zapisały.

Po paru dniach, do Domu Dziecka, przyjechała po nas wojskowa ciężarówka i zawieźli nas do Buchary, a później pociągiem do portu Krasnowodzk. Tam czekaliśmy parę dni, siedząc na plaży nad morzem Kaspijskim. Od czasu do czasu dostaliśmy coś do zjedzenia. Do okrętu szliśmy piechotą. Nie było mostku ażeby wejść na okręt, tylko szeroka gruba deska. Dzieci bardzo bały się wejść na tę deskę. Nasza pani opiekunka weszła na okręt, położyła się, wyciągnęła rękę i kazała nam raczkować po desce i nie patrzeć na dół i tak każda dziewczynka i chłopiec przeszliśmy na okręt. Kazali nam zejść drabiną na dół do luki okrętu. Był to okręt towarowy i w luce było gorąco i bardzo duszno. Ale tak trzeba było, żeby Rosjanie nie wiedzieli ile dzieci jest na okręcie.

Wieczorem, już w drodze, mogliśmy wyjść na pokład. Ja nie pamiętam jak długo płynęliśmy okrętem. Byłam chora i osłabiona i nie pamiętam jak zesłam z okrętu. Przyłynęliśmy do Pahlevi. Na drugi dzień starszy chłopiec, obciął nam włosy maszynką na pałę, a potem poszliśmy do kąpieli. Po kąpieli wszystkie dzieci dostały męskie koszule i tak chodziliśmy przez parę dni, aż chłopcy fasowali szorty. Ubranie, w którym przyjechaliśmy zostało spalone. Mieszkaliśmy w dużych namiotach/szałasach nad morzem. Jedzenie było dobre, ale ja nie mogłam jeść. Nawet nie mogłam zebrać sił, ażeby pójść z moja grupą przywitać generała Władysława Sikorskiego, gdy on odwiedzał Pahlevi.

Po pewnym czasie wyjechaliśmy do Teheranu. Mnie umieszczono w Pierwszym Obozie. Mój ojciec już wtedy był z wojskiem Generała Andersa w Palestynie. Jego przyjaciel przyjeżdżał do Teheranu odnaleźć swoją rodzinę. Ojciec polecił mu, ażeby starał się odnaleźć mamę i mnie. Minęło około 9 miesięcy jak rozstaliśmy się. Opowiadał mi potem ojciec, że gdy ten pan pytał w biurze czy Antonina i Eugenia Piotuch są w Teheranie, odpowiedziano mu, że Antonina nigdy do Teheranu nie przyjechała, a Eugenia jest na liście zmarłych. Jak jeszcze rozmawiali, do biura weszła jedna pani z listą dzieci zwolnionych ze szpitala. Na liście było moje nazwisko i tak ojciec odnalazł mnie. Był to rok 1942.

W niedługim czasie rozpoczęły się transporty polskiej ludności i dzieci sierot do różnych części Brytyjskiego Imperium. Ja, parę razy byłam na liście do Południowej Afryki. Pan Bóg pokierował inaczej. W roku 1944, w grupie 733 polskich dzieci,

przeważnie sierot i pod opieką 102 osób polskiego personelu wyjechałam do Nowej Zelandii.

Następnie, ulokowano mnie w Polskim Obozie Cywilnym, Numer 5, który był zorganizowany dla dzieci bez rodziny. Jeszcze parę razy byłam zabierana na krótkie okresy czasu do szpitala. W Obozie nr. 5 mieliśmy dobre warunki, dobrą żywność i szkołę też. Panie opiekunki okazywały nam dużo serca. Mieliśmy polskiego księdza i polską panią doktor. Często odwiedzał nas starszy pan, Amerykanin i razem z naszymi opiekunkami brał nas na spacer. Nasze opiekunki były mu bardzo wdzięczne, bo gdy on był z nami, Persowie nie podchodzili do nas.

To on przyniósł nam wiadomość o śmierci generała Władysława Sikorskiego. Na pewno dzielił nasz smutek, bo z własnej inicjatywy zawiesił polską chorągiew z czarną wstążką na bramie obozu.

W roku 1943 nasza grupa wyjechała do Isfahanu. Mieszkałam w różnych sierocińcach/zakładach. Mieliśmy dobre warunki życia i ja powoli wracałam do zdrowia i sił.

W niedługim czasie rozpoczęły się transporty polskiej ludności i dzieci sierot do różnych części Brytyjskiego Imperium. Ja, parę razy byłam na liście do Południowej Afryki. Pan Bóg pokierował inaczej. W roku 1944, w grupie 733 polskich dzieci, przeważnie sierot i pod opieką 102 osób polskiego personelu wyjechałam do Nowej Zelandii. Płynęliśmy okrętem towarowym przez Zatokę Perską i Morze Arabskie do Bombaju. Tam przesiedliśmy się na okręt Amerykański. Dopłynęliśmy do Nowej Zelandii 31 października 1944”.

Więcej o projekcie i relacji świadków na stronie: www.rodziny.muzhp.pl

Zapraszamy do obejrzenia również filmu dokumentalnego „**Dzieci z Isfahanu**” przygotowanego przez Muzeum Historii Polski.

Źródło: Muzeum Historii Polski

MY DEPORTOWANI

Wspomnienia Polaków z więzień, łagrów i zsyłek w ZSRR

Wybór i opracowanie Bogdan Klukowski

Wstęp

Prezentowany wybór pamiętników i wspomnień Polaków z okresu drugiej wojny światowej ma szczególny charakter. Są to relacje ludzi, którym wojna kojarzy się z pobytem w więzieniach i obozach radzieckich, z osiedleniem na Syberii lub na południu Związku Radzieckiego. Książki, z których dokonano wyboru fragmentów, nie były dotychczas publikowane w kraju, ukazały się przeważnie w Jatach czterdziestych i pięćdziesiątych na Zachodzie, głównie w Anglii i we Włoszech. Autorzy przekazywali ze swoich doświadczeń to, co było najsilniej doznany przeżyciem. Niektóre z tych relacji powstawały jeszcze w czasie działań wojennych, ich autorzy czynili zapiski w formie urywkowych dzienników podczas zesłania i później, by potem, na Bliskim Wschodzie lub w Europie nadać im kształt ostateczny.

Najnowsze ustalenia historyków ostatniej wojny, na których opiera się m.in. strona polska komisji zajmującej się badaniem „białych plam” w stosunkach polsko-radzieckich, mówią o liczbie ponad 2 milionów Polaków poddanych różnym formom represji na terenie Związku Radzieckiego. Na liczbę tę składają się poniższe dane.

a) 1 114000 stałych mieszkańców cywilnych z terenów przedwojennej Polski, przejętych przez

ZSRR w 1939 roku, którzy zostali wywiezieni na wschód podczas czterech wielkich akcji wysiedleńczych w latach 1940-1941.

b) 336000 stanowią uchodźcy z centralnych i zachodnich ziem polskich, uciekający w 1939 roku przed prześladowaniami ze strony Niemców — wywiezieni w głąb Związku Radzieckiego w czerwcu 1940 roku.

c) 210000 to obywatele polscy zmobilizowani do Armii Czerwonej (roczniki 1917, 1918 i 1919), a następnie w latach 1940-1941 przewiezieni na wschód.

d) 250000 osób cywilnych indywidualnie aresztowanych w latach 1939-1941 i wywiezionych do obozów i więzień w ZSRR.

e) 181000 jeńców polskich, wziętych do niewoli w 1939 roku i wywiezionych na wschód (w liczbie tej znajduje się także ponad 10000 oficerów polskich uznanych za zaginionych, zwłoki części z nich odkryto w Katyniu).

f) 12000 jeńców polskich internowanych w 1939 roku na Litwie, przejętych przez radzieckie organa bezpieczeństwa po włączeniu Litwy w 1940 roku do Związku Radzieckiego.

Do tego należy doliczyć nie znaną bliżej liczbę Polaków, którzy zostali aresztowani już po zakończeniu kampanii wrześniowej przy próbie przekraczania granic z Rumunią i Litwą. Wiadomo, że po osądzeniu dzielili losy rodaków zsyłanych w głąb ZSRR.

Podsumowując: do 22 czerwca 1941 roku liczba obywateli polskich, którzy zostali wywiezieni na wschód, wynosiła ponad 2 mln osób.

Do osób deportowanych w czasie wojny historycy wliczają bliżej nie określoną ilość żołnierzy Armii Krajowej internowanych i aresztowanych w 1944 roku, po wkroczeniu na wschodnie tereny Polski Armii Czerwonej, a za nią oddziałów NKWD. Największą liczbę aresztowań i wywózek odnotowano na terenie dwóch Okręgów AK — Wileńskiego (9100 żołnierzy w jednostkach pierwszej linii w czasie akcji „Ostra Brama”) i Nowogródzkiego (5 700 żołnierzy wystawionych w pierwszej linii).

Podstawowe źródła do badań nad losem Polaków wywożonych na tereny Związku Radzieckiego znajdują się poza granicami naszego kraju. Dotychczas dostępne są te źródła, które gromadzono w archiwach trzech największych ośrodków polskich na Zachodzie: w Instytucie Generała Władysława Sikorskiego w Londynie, w Instytucie im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku i Instytucie Literackim w Paryżu. Gromadzone w tych placówkach naukowo-badawczych dokumenty, to m.in. meldunki i raporty wojskowe i dyplomatyczne, materiały informacyjne gromadzone przez odpowiednie komórki wszystkich państw uczestniczących w wojnie, imienne wykazy deportowanych, internowanych i aresztowanych, wykazy osób zmarłych i zaginionych. Na podstawie tych zasobów archiwalnych powstało wiele opracowań monograficznych i szczegółowych. Materiały archiwalne i biblioteczne umożliwiają wielu osobom zajmującym się historią drugiej wojny światowej weryfikację faktów i innych danych. W archiwach znajdują się także relacje osób, które przeżyły pobyt na terenie Związku Radzieckiego, Relacje te były zbierane przez władze wojskowe i cywilne rządu emigracyjnego.

Na podstawie badań prowadzonych w tych ośrodkach historycy emigracyjni przedstawili jeszcze jedno zestawienie dotyczące deportacji. Ustalenia te są przyjmowane także przez badaczy krajowych. Dane dotyczą czterech wielkich deportacji mieszkańców kresów wschodnich.

Pierwsza miała miejsce 10 lutego 1940 roku, kiedy to wywieziono 220000 ludzi, głównie niższych urzędników i pracowników państwowych z miast, właścicieli ziemskich i pracowników leśnictwa.

Druga deportacja odbyła się 13 kwietnia 1940 roku. W jej trakcie wywieziono 320000 ludzi zamieszkałych na obszarach przygranicznych, rodziny osób aresztowanych dwa miesiące wcześniej, kupców i pracowników rolnych ze skonfiskowanych majątków ziemskich.

J,

Trzecia deportacja odbyła się w czerwcu 1940 roku. ujęta ona 240000 osób, głównie uchodźców z centralnej i zachodniej Polski, którzy znaleźli się za linią Bugu.

Czwarta wielka deportacja ludności polskiej miała miejsce w czerwcu 1941 roku. Wywieziono wówczas 200000 osób, wśród nich resztę uciekinierów z zachodu, inteligencję zawodową, wykwalifikowanych robotników, kolejarzy i zamożnych rolników. Po raz pierwszy na większą skalę wywieziono ludzi zamieszkałych na Wileńszczyźnie.

Deportacje, nazywane przez Polaków wywózkami, odbywały się w gruncie rzeczy w ciągu całego 1940 roku i w pierwszej połowie 1941. Miały one jednak mniejszą skalę niż cztery wymienione uprzednio. Deportacje realizowane były na podstawie instrukcji wydanej oddziałom NKWD na Litwie, Białorusi i Ukrainie „o trybie przeprowadzania operacji deportacji elementu antysowieckiego”. Akcją, która nazywana była oczyszczaniem zaplecza, kierował generał Iwan Sierow, zastępca ówczesnego Ludowego Komisarza Bezpieczeństwa Państwowego — Ławrientija Berii.

W praktyce za „element antysowiecki” uznani zostali wszyscy obywatele polscy, którzy znaleźli się na ziemiach przejętych przez Związek Radziecki w 1939 roku — stali mieszkańcy cywilni oraz tzw. bieżęcy, czyli uchodźcy z Polski zachodniej i centralnej.

Deportowani byli dzieleni na kilka głównych kategorii. Najliczniejszą stanowili tzw. wolni osiedleńcy, przede wszystkim ludzie nie nadający się do pracy — kobiety, dzieci, starcy. Byli oni wysyłani przeważnie do Azji Środkowej, głównie do Kazachstanu, gdzie sami starali się o miejsca do mieszkania i bytowania, znajdowali zatrudnienie w kołchozach i pobliskich zakładach produkcyjnych. Prymitywne warunki życia, niedożywienie oraz niedostosowanie do ostrego klimatu były przyczyną dużej śmiertelności wśród tej kategorii deportowanych.

Drugą kategorię stanowili ci, którzy byli kierowani do obozów przymusowej pracy w fabrykach, kopalniach i obozach pracy (łagrach). Wśród nich śmiertelność również była wysoka.

Trzecia kategoria to więźniowie, skazywani często na kilkunastoletnie wyroki, kierowani po skazaniu do łagrów na głównych szlakach syberyjskich i arktycznych.

Czwartą grupę stanowili więźniowie zsyłani do obozów o obostrzonym rygorze, kierowani do najtrudniejszych prac w kopalniach i przy wyrębie lasów. Do niedożywienia, ciężkiej pracy i zabójczego klimatu dochodziło w ich przypadku surowe traktowanie przez komendantów i strażników. Tylko 15 procent z nich było w stanie przetrwać więcej niż jedną zimę.

Wśród wszystkich wywiezionych obywateli polskich około 65 procent stanowili Polacy, resztę — Żydzi, Ukraińcy, Białorusini i Litwini. Na mocy umowy Sikorski-Majski i ustaleń generała Władysława Sikorskiego ze Stalinem z końca 1941 roku do punktów werbunkowych Armii Polskiej i delegatów ambasady polskiej zgłosiło się 116000 obywateli polskich z całego terenu Związku Radzieckiego. Byli to przeważnie „amnestionowani” oficerowie i żołnierze; 45000 osób stanowili cywile. Pozostali weszli w skład I Korpusu organizowanego przez Związek Patriotów Polskich (stan z końca 1943 roku — 32400 ludzi). Część deportowanych wróciła w pierwszych falach repatriacji w latach 1945-1946. Trud

no podać liczbę tych, którzy z głodu, przemęczenia i mrozu zmarli na terenie Związku Radzieckiego.

Autorami prezentowanych książek są przeważnie ludzie pióra i ludzie sztuki: Beata Obertyńska, Waław Grubiński i Gustaw Herling-Grudziński — pisarze, Anatol Krakowiecki — dziennikarz, Józef Czapski — artysta malarz. Jan Umiastowski — młody podchorąży września 1939 roku — należał do grupy internowanych żołnierzy polskich na Litwie. W 1940 roku został wraz z innymi przejęty przez radzieckie organa bezpieczeństwa. Ostatnia książka jest pracą zbiorową, składającą się z relacji tych, którzy w czasie wojny znaleźli się z rodzinami na terenie Związku Radzieckiego jako dzieci i ocaleli zazwyczaj dzięki własnej przezorności i odporności organizmu.

Czas, w którym powstały książki zaprezentowane tu we fragmentach, nie pozwalał zazwyczaj na zachowanie dystansu, zresztą nie można go oczekiwać od osób, które uszły przed zagładą dzięki szczęśliwym zbiegom przypadków. Na chłodną, niemal filozoficzną relację zdobył się Gustaw Herling-Grudziński, którego książka zaliczana jest do wybitnych. Zwraca uwagę wisielczy humor znanego przed wojną dramaturga Waławu Gru- bińskiego i młodzieńcza fantazja Jana Umiastowskiego. W przedstawionych fragmentach czytelnik znajdzie wiele emocji, słów i wyrażeń

świadczących o indywidualności autorów, dużo mówiących o ich umiejętności przedstawiania świata, z którego wrócili w sposób dla nich samych zadziwiający. Przy lekturze tego wyboru narzucać się będą pytania o tych, którzy przetrwali tylko w pamięci autorów wspomnień, o rzesze bezimiennych, masowo wymierających w czasie nieustannie trwających transportów kolejowych, w trakcie wielogodzinnych marszów i równie wyniszczającej pracy.

Przy wyborze poszczególnych fragmentów kierowałem się zasadą komplementarności: pokazać co działo się z deportowanymi od września 1939 roku lub od momentu aresztowania do chwili załadowania na statki w Krasnowodsku, zmierzające do portu Pahlevi. W tych ramach czasowych mieszczą się miesiące pobytu na Syberii, w rejonie Morza Białego, w Kazachstanie, w Kraju Kołymskim,

pobyty w więzieniach Lwowa i Moskwy, obozach na terenie europejskiej części Związku Radzieckiego i pod pokładami statków wiozących głodnych i spragnionych ludzi na miejsca zesłania.

We wszystkich tekstach została w miarę możliwości ujednolicona fonetyczna forma zapisu zwrotów powszechnych i nazw własnych zaczerpniętych przez autorów z języka rosyjskiego. Rusycyzmy wyróżnione zostały przy pomocy kursywy. Do obowiązków redaktorskich należało też uporządkowanie pisowni łącznej i rozłącznej zgodnie z obowiązującymi zasadami ortografii, wprowadzenie współcześnie używanej odmiany i ujednolicenie interpunkcji (tylko tam, gdzie ingerencja redakcyjna nie niszczy autentyzmu spisywanych „na gorąco” relacji).

Skróty w ramach poszczególnych akapitów i opuszczenia większych partii tekstu zaznaczono znakiem (...). Wykropkowania nie ujęte w nawiasy pochodzą od autorów.

B.K.

Czciiele słońca I ognia

(...) Wiosna zresztą zacznie się od drogi. Najpierw droga wypłynie spod śniegu, a po jej stronach powstaną odtajające pasy ziemi, który coraz bardziej będzie się rozszerzał, pełzał w górę, uciekał w tajgę. W tej chwili daleko jeszcze do wiosny. Wiosna, to dopiero czerwiec, lipiec i sierpień — to lato, do połowy września — jesień; około piętnastego września spadnie śnieg, który już nie staje, lecz zostanie i to będzie początek zimy. Katorżnicza, więzienna pieśń powiada:

Kołyma, Kołyma, cóżżeś za planeta,
jedenaście miesięcy zimy, jeden miesiąc lata.

Jest w tej pieśni katorżnicza przesada. Zima trwa tam „tylko” dziewięć miesięcy — pozostałe trzy dzielą się na wiosnę, lato i jesień.

W Kadak-Czanie wydano po cztery paczki machorki. Był to cud i tak to notuję. Pozwolono nam kupić po 400 gramów cukierków. To drugi cud. Wydano po 400 gramów cukru — trzeci cud.

A do tego okazało się, że dziesiętnik z Gorełoje nie był taką świnią, za jaką go uważałem. Wypisał mi za miesiąc marzec ... ponad 100 procent normy! Co znaczy protekcja! Bo gdzie ja tam wypracowałem 100 procent? Najwyżej 40! Teraz jednak do Kadak-Czanie przyjechał kasjer i oto Piotrowski mówi, że są dla mnie pieniądze za marzec. Nie wierzę własnym uszom, nie wierzę własnym oczom nawet, kiedy podpisuję listę płatniczą. Otrzymuję 34 ruble — zawrotna suma! Dotychczas w ciągu jedenastu miesięcy obywać się musiałem bez pieniędzy, a jeśli na przykład potrzebne mi były na machorkę, sprzedawałem swoją porcję Chleba.

Maj zastał nas w Kadak-Czanie. W godzinach południowych wezbrane rzeki zaczynały płynąć po drodze i tajdze. Naszym zadaniem było przekopywanie rowów koło dróg i spuszczenie wody. Ale już koło godziny drugiej po południu strumienie zamarzały w lód.

Do Kadak-Czanie, naszej pograbskiej „stolicy”, dochodzą nawet gazety. Miejscowy felczer pokazuje mi dziennik, „Sowietskaja Kołyma” z wiadomością o ucieczce von Hessa do Anglii. Czytam, kiwam głową i nic nie mówię, bo i po co? Zdaję sobie sprawę, jak bardzo byłem szczęśliwy, że dowiedziałem się o upadku Francji dopiero w cztery miesiące po fakcie, a mianowicie w październiku, w szpitalu na 3 prorabstwie. Kiedy już się o tym dowiedziałem, wiadomo mi było także,

że Anglia walczy jednak dalej i że wojna trwa.

Miałem wówczas nowego naparnika, czyli człowieka, z którym razem pracowaliśmy „na parę”, a więc we dwójkę. Był nim Gruzin — Szaliko Bajromaszwili, chłop przeszło dwumetrowy, chudy jak szkielet. Kiedy wróciłem tego dnia na Kedrową, odwołałem Gruzina i zakomunikowałem mu poważnie:

— Batoni będzie wojna między Niemcami, a Sowietami!

Opowiedziałem mu o desancie, skojarzyłem ją z ucieczką Hessa do Anglii i bez namysłu rąbnąłem:

— Szaliko, batoni, wojna wybuchnie 22 czerwca!

Była to zwykła beczelność. Po prostu przypomniałem sobie i powtórzyłem datę wymarszu Napoleona na Moskwę...

Niemniej jednak w owej chwili najważniejszą sprawą był niewątpliwie dla mnie wniosek: będzie wojna! Wszystko inne, nawet termin wybuchu tej wojny — uważałem — za kwestie drugorzędne.

Ale Szaliko będzie opowiadał o mnie szeptem ludziom najbardziej zaufanym różne „cuda” — potem po fakcie...

Pocziwy Szaliko! Uczył mnie historii Gruzji, uwielbienia (pla- tonicznego) dla wina, czego za bardzo uczyć mnie nie musiał i opowiadał swoje dzieje, które wcale nie były zbyt osobliwe:

— W czwartek odbył się mój jubileusz dwudziestolecia pracy pedagogicznej. Byłem bowiem nauczycielem i dyrektorem szkoły.

— Nadesłano — gada — moc telegramów i wręczono mi patent na zasłużonego pedagoga ZSRR. To bardzo wysokie odznaczenie. Jak ci mówiłem, to było w czwartek. A w piątek w nocy przyszło NKWD i zabrano mnie do kryminału. Jeszcze tejże samej nocy zbito mnie do utraty przytomności. Po tygodniu śledztwa przyznałem się do wszystkiego, co mi zarzucano — nie mogłem

znieść bicia. Podpisałem protokół, że brałem udział w spisku kontrrewolucyjnym i dostałem 15 lat. Nie ma o czym mówić...

Chwalił Szaliko piękno swego kraju, dobroć i odwagę ludzi Kaukazu, potrawy gruzińskie i — wino, wino!

(...)

Jak rok długi, czy to zima czy lato — praca zaczyna się od założenia ogniska kastra. Kastior — ognisko — płonie w każdym zaboju, w tajdze i na sopkach koło dróg i w zupełnym pustkowiu, wszędzie, gdzie jest człowiek. W zimie nie tylko ogrzewa, ale daje _ co bodaj ważniejsze — opiekę nerwową i moralną. Nieszczęsny człowiek, sterroryzowany przez potężny mróz i jeszcze straszliwszy wiatr — garnie się do ogniska, świadomość że niedaleko, za zakrętem, za progiem — płonie ognisko, przynosi przerażonym duszom ludzkim oddech nadziei, która pociesza, że może śmierć nie nastąpi natychmiast, w następnej minucie, że dzień dzisiejszy być może zostanie przeżyty, i staje się symbolem — zniczem ratunku.

W lecie ognisko odpędza komary i stanowi centralny punkt łagiernego „klubu” — jest synonimem odpoczynku. Dookoła zbiera się kilka lub kilkanaście postaci i rozpoczyna się rozmowa. Poczekalnia — salon — i uniwersytet wiedzy o niezakłamanej rzeczywistości sowieckiej.

Istnieje zawila „etykieta ogniska”. Człowiek idący do szpitala spostrzega płonące ognisko, chce się ogrzać lub choćby tylko przysiąść, pogadać, machorkę — jeśli ma — zapalić. Musi podejść, pozdrowić siedzących i zapytać, czy wolno mu odpocząć? Z reguły prawie zawsze pada oczywiście odpowiedź zapraszająca, a potem zaczyna się indagacja:

— Skąd pochodzicie? Jaka statia (paragraf)? Ile lat wyroku?

Gdziekolwiek przyznają się do „trzech lat wychowawczych obozów pracy” i do „trzech lat porażenia” (zawieszenia w prawach), następuje ogólne zdziwienie i kiwanie głowami z zazdrością:

— Trzy lata? Tylko trzy lata? dietskij srok, dziecinny wyroki...

Owe słowa, słyszane kilkaset razy, obrzydły mi. Mówią zaś te słowa ludzie, którzy mają po osiem, niekiedy po pięć, a najczęściej po 10 lat — ci ostatni chwalą

się, że mają czerwonońca (banknot dziesięciorublowy) i od razu westchnienie współczucia:

— Tylko trzy lata! Ale za to przysłali was na Kołymę. A tutaj trzy lata nie są ważne, tu trudno jedną zimę przeżyć.

Odpowiedź, że jedną „zimę kołymską” mam już za sobą, wzbudza poszanowanie. Radziby zapytać, jak to ja zrobiłem, ale pytają o to dopiero później.

(...)

Czasem jednak-na prośbę o pozwolenie podejścia do ogniska pada odpowiedź:

— Przynieś drzewo, to odpoczniesz!

Ludzie- zas, którzy lenią się z przyniesieniem drzewa są prześladowani i maltretowani, uważani za niesolidarnych w najwyższym stopniu.

Niekiedy w czasie etapów, gdy człowiek znużony dwudziestokilkukilometrowym marszem wśród śnieżyicy i mrozu zapuka do drzwi jakiegoś obcego baraku — usłyszysz:

— Dobrze, pogrzejesz się, ale musisz przynieść drzewo!

Odpowiedź taka wita przechodnia na komandirowkach, gdzie trudno jest o drzewo: dookoła zarośla wytrzebione i trzeba kilka kilometrów ganiać w las, ażeby znaleźć kawałek suchego patyka.

O! to ustawiczne pragnienie ciepła! To nie kończące się nigdy pragnienie ogrzania się! Owe posiedzenia nad ogniskiem i wzdychania do słońca. Dziesiątnicy, naczelnicy, dozorczy, nienawidzą ognisk i słońca. One to odwracają ludzi od roboty, a przecież jedyna racja istnienia ludzi tłumaczy się pracą. Na porządku dziennym są wypadki, że dziesiątnik rozkopuje ognisko, a rozwścieczony strażnik zabrania je zakładać. Tysiące ofiar pęta się po różnych szpitalach z odmrożonymi lub zgoła już zoperowanymi członkami, a na pytania pada stereotypowa odpowiedź:

— Strielok zabronił nam rozpalić ognisko! — Strielok, dosłownie „strzelec” jest oficjalną zakamuflowaną jak wszystko nazwą strażnika, czyli dozorczy. Za moich czasów strifki zaawansowali do bojców, czyli „wojowników” i bardzo obrażali się o starą nazwę.

Wszelka swołocz łagierna nienawidzi więc ognisk i słońca. Cienie ludzkie, które chronią się pod opiekę słońca i płomieni, nazywane są obelżywie „czcicielami ognia i słońca” — to sabotażyści, którzy nie chcą pracować i myślą jedynie o „uprzyjemnianiu” sobie życia.

Praca słońca jest fantastyczna. Zima i „czarne dni” minęły. Słońce podniosło się wyżej i 'coraz dłużej ogrzewa ziemię: topi lód, a śnieg zamienia w jeziora i wzburzone rzeki. Walka trwa jednak długo. Jeszcze z końcem czerwca wzgórze są białe — w lipcu pada śnieg i leży kilka dni.

Słońce toczy zapasy z lodem i śniegiem. Ale choćby nie wiedzieć jak pracowało, choćby wiele tygodni wykazywało całą swoją gigantyczną zaciętość, ziemia nie odmarznie nigdy głębiej niż na 80 cm. Poniżej — wieczne lodowisko, trzeba ziemię rozbijać łomem. W tajdze po wierzchu rosną kępy trawy i mchu otoczone wodą, a pod kępami, pod mchem i wodą ziemia jest zamarznięta i przy kopaniu wydobywa się żwir, pomieszany z kryształami lodu. Drzewa rosnące w tajdze, wysyłają korzenie tak płytko i szeroko, że właściwie pełzają po wierzchu. Na stokach wzgórz rośnie kosodrzewina, która w niewytłumaczalny sposób czepia się szczelin skalnych.

Słońce topi lód i śnieg. Strumienie wody wgryzają się w skałę, a odłamki unoszą w doliny, krusząc je na żwir, a żwir mieląc na pył. Pracuje słońce, pracuje woda, pracują: mech, trawa, korzenie krzewów i drzew, kosodrzewina, brusznice, czarne jagody, fioletowe szarotki i ... kwiaty, rozrzucające bladeścią, rzadkością i zaskakującym, olśniewającym, nieśmiałym pięknem. Człowiek głodny, którego ciało żrą rany skorbutowe, tknięty nagłym zachwytem — zapomina o głodzie i o ranach: patrzy w kwiat, jak w fatamorganę.

(...)

27 maja znów etap z Kadak-Czanu. Tym razem Piotrowski pozostał, a towarzyszy mi Bajromaszwili. Niedaleki to etap, osiem zaledwie kilometrów. A że nasz odcinek drogi sięgał prawie po sam Kadak-Czan, niejednokrotnie musieliśmy chodzić na robotę w jedną stronę komandirowki 7 — 8 kilometrów, w drugą od 6 — 7. Z jednej strony był Kadak-Czan, z drugiej Belik-Czan.

(...)

W pobliżu kopalni nasza droga była najczęściej zrujnowana. Codziennie tutaj płynęła drogą rzeka, wymywając nasyp i burząc bardzo marną nawierzchnię. W jednym miejscu droga zapadała się ustawicznie po przejeździe kilku samochodów i trzeba ją było nasypywać i nasypywać. Było to „ciepłe” bagno. Znosiliśmy kamienie, możliwie duże, wrzucali w jamę, zasypywali żwirem starannie i równali nawierzchnię, a za dwa dni zabawa musiała się powtórzyć, bo nawierzchnia i kamienie już zdążyły się zapaść.

W tym miejscu muł rozpuszczony w wodzie nigdy nie zamarzał i to na olbrzymią głębokość.

W naszej przeklętej piekarni trudno było spać. Wszy było pełno, a pluskwy kapąły z sufitu i ze ścian. Deszcz ściekał i wewnątrz tworzyły się duże kałuże wody. W takich warunkach deszcz sprawiał nieznośne udręczenia, za to słońce tym bardziej smakowało i cieszyło.

Starszy robotnik, również więzień, był porządnym człowiekiem. Dawał się we znaki „Czuma”. „Czuma” i miliony pluskwów.

Niedaleko drogi obok bunkra, poniżej stromej skarpy płynęła rzeczka. Woda w tej rzeczce była jakby mineralna. Tam to pewnego czerwcowego dnia siedząc na brzegu, wyplułem na dłoń jeden po drugim cztery zęby. Tam na brzegu przewijałem bandaże na nogach, na których potworzyły się rany cyngowe, szkorbutowe. Ale jakby w rekompensacie — w tym tygodniu zagoiły się ostatecznie moje palce i z nurtem smacznej rzeczki popłynął ostatni bandaż.

Byliśmy tam z dala od oka władzy, pozostawieni samym sobie. Chleba nie brakowało i było co palić. Czasem udało się w ciągu dnia przespać w cieniu promieni słonecznych — był to ekwiwalent za nocne bezsenne z powodu pluskwów, dławiącego ich smrodu i obrzydzenia.

Na drodze między Kedrową a Kadak-Czanem — ja fanatyczny czciciel słońca i ognia — objąłem się miesiąc i w ciągu tego czasu nikt nawet nie groził mi izolatorem! Po śmierć czy po wolność?

Niewysokiego wzrostu Żyd, przestępca kryminalny, nazwiskiem Nastaszewski, był dobrym, solidnym kolegą lagiernym.

Pracował do niedawna u wierzchołka przełęczy, ale od strony komandirowki, czyli od strony ciszy i był dlatego przedmiotem powszechnej zazdrości. Stały jego posterunek był idealnie osłonięty od wiatru. Przed wydłubaną w stromym stoku obszerną jamą, rozkładał ognisko, które podsyczał węglem, zrzucanym z samochodów, kilka razy „na dzień dobry” podsypywał trochę żwiru, ażeby samochody nie ślizgały się i przesiadywał na wzniesieniu przez cały czas przy swoim kastiorze, użyczając chętnie gościny.

Od kilku dni stał się dygnitarzem (dzięki protekcji dniewalnego) — w kantorze.

Wśród ciemnej nocy, jeszcze przed pobudką, Nastaszewski wszedł cicho do baraku, pochylił się nade mną i rzekł szeptem:

— Przyszło po ciebie wezwanie do Uprawnienia Dorożnego Dał-nego Siewiero-Wostoka (najwyższa władza, zawiadująca wszystkimi drogami na Kołymie) — razem z rzeczami i dokumentami. Jedziesz na uwolnienie. Nie mów nic nikomu i nie zdradzaj mnie. Słyszałem na własne uszy, jak czytano dokument!...

Tak urodził się dzień 12 kwietnia 1942 roku.

— KrakowieckiL. Wezwany do uprawienia. Jedzie po zwolnienie.

Wycofałem się, aby mnie nie zauważyli. Panował we mnie zupełny spokój. Nie potrafiłem myślał objąć faktu, że to przecież mówi się o mojej wolności; czy nie uwierzyłem w możliwość i w prawdę tej — czyjejs? — cudzej? — obcej? — tak bardzo mi obojętnej wolności.

Jakby nie w mojej świadomości, układały się wątle myśli:

— Teraz przyjdą po mnie do baraku i powiedzą, żebym się zabierał z rzeczami.

Nie, nie przyszli. Nikt nie dał żadnego znaku, a więc, może nieprawda? Wyprowadzono nas, jak zwykle, na zbiórkę. Stojąc wśród dochodzących z brygady, kątem mózgu obliczałem beznamiętnie:

— Dziś jest 12 kwietnia 1942 roku. Akuratnie osiem miesięcy temu, dnia 12 sierpnia Wierchowny Sowiet wydał „amnestię” dla Polaków!.

Dopiero obok tej myśli, jakby na marginesie zupełnego nieprawdopodobieństwa, układał się inny wątek:

— Teraz, powiedzą, żebym wystąpił, wrócił do baraku i zabierał się z rzeczami: — „Sobirajties s wieszczami”.

(...)

Brygadier wyznaczył mi robotę tę samą co wczoraj. Czekałem, czy może coś powie i uważnie patrzyłem na jego wargi. Nie, nie powiedział nic więcej.

(...)

Było już południe, kiedy wywołano mnie z bani. Starosta oświadczył, pokazując jakiegoś cywilnego typu, pewnie wolniagę.

— Ten obywatel odwiezie was na uczastek.

Uczastek, czyli naczelnictwo okręgu, znajdowało się na sąsiednim 7 prorabstwie, o 12 kilometrów odległym.

(...)

W baraku moja osoba wywołuje sensację. Jestem znany na całymuczastku w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Olbrzymia ilość więźniów zna mnie osobiście, inni ze słyszenia. Mówi się o mnie: „Stary Polak, co odmroził rękę”.

Czasem też — jeśli nie słyszą obcy — mówi się jeszcze inaczej:

„Stary, chytry Polak, co umyślnie odmroził rękę, a palec wskazujący uchował, żeby mógł pisać!”

Nigdy mnie nie interesowało, co o mnie mówią więc i teraz mnie to nie obchodzi. Mam o czym myśleć, jestem pełen rozterki. Znajduję się na bardzo ryzykownej huśtawce nerwowej.

(...)

Dedykacja...

(...)

W ten sposób zakończyły się dzieje więzienne i łagierne pewnego Europejczyka, Adigałah — kropka — koniec!

Dookoła zielona Anglia. Lata minęły, wszystko jest tak bardzo inne, jak jawa i sen, jak życie i śmierć. Jak zima i wiosna. Teheran — Bagdad — Jerozolima. To także etapy, etapy powstawania tej książki. Rosły zapiski, z zapisków pomału powstawała książka.

Ileż to razy szumiał Teheran i isfahańskie drzewa? Potem gwiazdy pochylały się nade mną i nad Bagdadem, a księżyc topił się w Tygrysie. I oto znowu biała i różowa Jerozolima, oddalająca się w noc i w sen, i w gorączkę.

Książka jest gotowa. Zrzuciona z ramion, jak kołymski łachman. Odrzucona od siebie, jak strup, który oderwał się od duszy.

Przed oczyma wstaje Londyn szary i zielony.

Myśl wraca do dawnych wspomnień:

Adigałah, ów dzień zmierzający i słowa o „wolnych ludziach”.

(...)

Wspomnienie to posyłam nad wszystkie kołymskie groby! Niech spłynie nad pryiskami, drogami, fabrykami, nad złotem, ołowiem i węglem. Nad śniegami i nad potopem wzburzonego czerwcowego lub sierpniowego rozszaliska wód.

Kiedy ktoś umrze, mówi się na Kołymie:

— Poszedł pod sopkę — został pod sopką — leży pod sopką...

Są to synonimy na określenie człowieka, którego pożarła Kołyma, białe krematorium. Polskich grobów pod sopkami są tysiące. ludzkich grobów — wielokrotne setki tysięcy. Jak. kłątwa wisi nad tym krajem przeświadczenie, że nie można wydostać się żywym.

Legendarnymi stają się rzadkie wypadki, kiedy kogoś zabiorą na pieriesledstwije (powtórne badanie) i odsyłają na kontynent, czyli jak się tam mówi: na matierik. O takich wypadkach głośno na całej Kołymie w ciągu długich miesięcy. Są to tam bardziej zdumiewające, wypadki, niż w innych krajach i w innych społeczeństwach główne wygrane na loterii.

Złoto! Złoto kosztuje setki tysięcy istnień ludzkich. Nad tajgą huczy motor samolotu. Robotnicy pracujący tu i ówdzie podnoszą głowy i patrzą. Samolot nadlatuje, przelatuje i znika na horyzoncie.

„Powieźli złoto”.

Tak wszyscy myślą, nikt jednak nic nie mówi. Bo i po co? Wszak wszyscy wiedzą, że samoloty pojawiają się nad tajgą tylko w trzech wypadkach:

- dla transportu złota,
- aby śledzić zbiegów w wypadku zbiorowej ucieczki,
- w razie pożaru tajgi.

Czasem w pogodny dzień nad światem zawiśnie mgła. Jakże ta mgła z wyglądu podobna jest do irackiego czy egipskiego hamsinu.

Wszystko zaś jest lepsze niż kołymski łagier. Na przykład wojna! Wojna jest zabawką, wojna jest rozrywką. Śmierć na wojnie nie jest straszna, straszniejsza jest śmierć na Kołymie!

Zarzucam czarny całun na kołymskie groby!

Wepchnięty pewnego dnia do celi, podtrzymując rękami opa- dające bez guzików spodnie, autor niniejszych wspomnień pomyślał:

„Oto jestem na dnie”. ~

A potem okazało się, że to wcale nie było dno! Stanisławowski kryminał to była sielanka zaledwie sentymentalna.

Mijały dni, tygodnie, miesiące i — tysiące kilometrów. Okazało się, że bywają rzeczy jeszcze gorsze, że więc dno jest jeszcze niżej. Nawet i wtedy, kiedy zdawało się, że już nic nie może być poniżej, że jednak już nastąpił kres niedoli ludzkiej, dno pochylało się jeszcze głębiej, dno zapadło się coraz bardziej!

Przychodziły chwile, że człowiek, — autor przeżyć niniejszych (jeszcze nie był autorem tej książki) — myślał:

„A może jestem po tamtej stronie dna”?

Ale to przecież nie było tak, albowiem po tamtej stronie dna jest już tylko śmierć, czyli wyzwolenie, wolność, spokój i szczęście. O czym można dowiedzieć się tylko na Kołymie. Albo w Oświęcimiu!

Tymczasem dno zapadało się coraz głębiej, coraz więcej ludzi wyzwalano się na tamtą stronę, a człowiek, przyszedł autor, „gruntował” niedolę ludzką coraz przepastniej.

(...)

— Już nic gorszego nie może być niż Kołyma

— A Oświęcim?

Miliony ludzi, nakrytych tymi oboma skrzydłami szatana — cierpiało i cierpią, krwawiło i krwawią, męczą się, gniją za życia, a śmierć jest dla nich — wolnością!!!

Czynię przerażające odkrycie:

NIE MA DNA W NIESZCZĘŚCIU LUDZKIM!

(...)

Jerozolima — Londyn, 1947